№ 1.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1843. Poznań, dnia 4. Stycznia 1843.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Przyrzekliśmy rozszerzyć zakres pisma naszego, a wywięzując się z tego, położymy raz po raz uwagi krótkie, z czasu bieżącego wyprowadzone.

Każdy rok jest ważném ogniwem w rozwijaniu się postępu, przeobrażeniem ducha czasu. Są lata, w których wszyscy ludzie, a ztąd i wszystkie pisma, mniéj więcéj chylą się na stronę wojny; w innych znowu na stronę pokoju, albo raczéj ściśle z nim połączonego przemysłu; w innych jeszcze każdy się zatapia w polityce, okazuje dążność do zmian społecznych. Czém się zajmują uczeni, a zwłaszcza pisarze, to schodzi między ludzi zajętych sprawami prywatnemi, to zatrudnia salony i nakoniec młodzież szkólną, aż drobne dzieci.

Od wielu lat rozpoczął się ruch oddziaływający przeciw materyalizmowi i wojnie, lecz szedł w rozdwojeniu i w całkiém przeciwnych kierunkach. Naprzeciw kościoła występowały systemata mniéj więcéj przeciw-chrześciańskie, a uczniowie Saint-Simona przynajmniéj najwięcéj narobili chałasu. Obiecywali w miejsce zużytéj zasady postawić coś nowego, a skończyli na zagładzie bez śladu. Jakby w odpowiedzi, że ewanielia ma jeszcze dosyć korzenia i siły w ludzkości, wystąpili Buchez i Roux, a poniekąd i Lamennais. W całym tym ruchu religijnym począwszy od tak zwanych Jezuitów na dworze Ludwika XVIII., czynny udział mieli tylko sami Francuzi i wciągnęli niektórych z tych jedynie cudzoziemców, co w Paryżu do wyższéj wnikali sfery. Tymczasem u Niemców w rozwijaniu filozofii, zwłaszcza od śmierci Hegla, obrócono się do kwestyi religijnych, zmięszano filozofią z teologią, albo raczéj usiłowano sprowadzić je do jednéj zasady, aż nakoniec przyszło do dzieł Strausa.

Polacy, którzy od początku swego powstania, w badaniach europejskich zawsze nieco póżniéj, ale żywy udział brali — nie mogli i przy kwestyach religijnych pozostać tylko świadkami. Naprzód dziennik **Młoda Polska** pokazał się z Francyi jako coś niespodzianego i dziwacznego, potém stał się głośnym tak zwany **klasztorek z ulicy Vavin**, nareszcie było słychać, że są klerycy w Rzymie, co z Paryża przybyli, potém wydrukowano: **Polskę pod względem katolicyzmu, Polskę Chrystusową, Piastów** i różne pomniejsze pisma, które dzięki Bogu nie zyskały wielkiéj sympatyi. Pomimo to trudno zapierać, że jak daleko od kraju tak i w kraju zbliżyli się do siebie ludzie, nie tyle z serca jak z rzemiosła nabożni. Nakoniec klerycy występują już jako wykończeni księża pełni nauki, zapału, dążeń hierarchicznych, bo z przekonania stan sobie obrali, bo walczyli w bojach, bo święceni w Rzymie. Za ich przeciwnika ze stanowiska chrześciańskiego, ale reformacyi można uważać Trentowskiego, którego pisma mają powab, lecz także nie mają wpływu. Na dobre imponować zaczął, jako przeciwnik cudowny Towiański. Zasada jego o tyle chrześciańska, że wszystko dotychczasowe uważa za podstawę przyszłości, o tyle przeciw-chrześciańska, że wprowadza aż pojęcia kabalistyczne, że zmierza do czegoś nad chrześciaństwo, że sztucznie zobojętnia chrześciaństwo przez równoważenie uczuć dla wyznawców religii żydowskiéj i każdéj innéj na świecie. I ten króciuteńki sąd o nim wyrwany jest tylko, jak błyskawica z ciemnéj nocy, bo między uczniami Towiań-

skiego sama tajemnica, stopniowanie w urzędzie; spólne zaś wszystkim obwoływanie za rzecz wielką tego, co jest. Spytaj się jednak co? a odbierzesz zawsze odpowiedź: to rzecz wielka.

Pierwsi dzisiejsi polscy pisarze wiążą się ze wznowionymi katolikami francuzkimi, robią jednę robotę z teologami rzymskimi, pracują do współek z filozofami niemieckimi, a nakoniec dzielą przeszłość pomiędzy Mojżesza, Chrystusa i Towiańskiego. Otoż mięszanina jak się należy, a wszędzie religijna, a pomiędzy ludźmi, którzy drugich prowadzić przywykli, którzy jeszcze nie posiwieli, którzy długo wpływ wywierać mogą.

Ale tu nie dosyć na teoryach, my mamy i czyny, które zapowiadają z téj saméj strony coś nowego. Czytamy po pismach czasowych, że w téj części dawnéj Polski dzieje się to lub owo z kościołem, z drugiéj, że się zasiedlają synowie Lojoli, z trzeciéj, że wychowanie pójdzie w przepisy klasztorne i w ręce teologów, co drugie umiejętności nawiasowo posiadać będą, a jednak będą ich nauczycielami. Nam aż nie miło spominać i o nieszczęściach i o różnych zabiegach po wszystkich stronach.

Pismo nasze jest poświęcone Kobietom. Tylko dla starego przywiązania do mody przyłączamy ryciny z modami, lecz nie dla tego, abyśmy na modę jaką wartość kładli. Usiłowanie nasze głównie się opiera na tém, żebyśmy drugiéj połowie rodu ludzkiego coś odpowiedniego, a dążącego ku dobru ogólnemu podali.

Z téj wychodząc zasady, zapowiadamy matkom troskliwym o wychowanie ich dzieci, że się zbliża czas różnorodnego pojęcia w rzeczach religijnych. Ubolewamy, że wszystko już się nie toczy dawnym swoim biegiem, ale niepodobna temu zaradzić, bo już na ten ocean wpłynęli najlepsi pisarze polscy, jak po nim pływają i innych ludów europejskich. Zalecamy więc tylko wychowanie pobożne według przepisów właściwego kościoła, a unikanie wszelkich zabiegów. Szał ten za kilka lat znowu przeminie, a kobieta-teolog raz wyśmiana, nigdy szacunku nie odzyska. — My z pewnością nie należymy do tych, którzy mężczyznom wielką wyższość nadają, i przyznajemy, że kobietom wszelki przedmiot pojęcia jest dostępny, ale Teologia innego potrzebuje od młodości usposobienia, jak jest to, z którego kobiecie korzystać wolno. Jeżeli zaś kobiety tém się ośmielają, że pod kierunkiem mężczyzn przy zabiegach tylko podrzędne dostają role, to przypominamy, że wszystkie te zabiegi rozbiły się nareszcie o jakieś wieści miłosne. Były to po większéj części potwarze, a przecież w nie uwierzono.

O D A.

Powieść z czasów Bolesława Chrobrego

przez

Seweryna Goszczyńskiego.

I.

W najgłębszéj i najpiękniejszéj ustroni Tatrów, śród skał szarych, śród lasów świerkowych, leżał zamek Gromowida, zaczepiony, jak koza, na urwistym boku góry, a w takiéj wysokości, że szczyty jego spoczywały już na tle ciemnéj zieleni kozodrzewia: wyżéj łysiała już tylko opoka, przemykały się kozy, świstały strzały strzelców, przechadzały się wiatry i chmury, grały i płonęły pioruny. Pod nogami jego ponure gęstwy borów drzymały wiecznym, nieruchomym obłokiem; dolina najświeższéj zieleni, wygiętem pasmem gór, patrzała ku nim, jak oko wiecznie wesołe, a wzdłuż jéj błyskały fale czarnego Dunaju, jak połysk ruchawéj źrenicy. Niema w całych Tatrach dzikszéj i piękniejszéj okolicy, niema też cichszéj. W dzień śpiewy i okrzyki pasterzy, dźwięki piszczałek, gwar trzód, były tylko słowami pieśni, a cisza była jéj muzyką uroczystą, wesołą, pogodną: w nocy szum wiatrów i wód, gwizdy bobaków, ryk niedźwiedzi, hukanie nocnych ptaków, były tylko słowami pieśni, a cisza była jéj muzyką uroczystą, ponurą, zamyloną. Noc i dzień pogoda jasna i chmurna, przedstawiały się tu jak zmiany oblicza zawsze pięknego.

Takie było ustronie, takie życie w około zamku Gromowida. Ale milsze, pełniejsze i cichsze życie panowało w zamku. Gromowid, doświadczony mąż boju i głośny w wyprawach Chrobrego. Oda, najpiękniejsza z góralek, używali tu pierwszych rozkoszy połączenia się swojego, z pełnéj czary małżeńskich pieszczot, całemi duszami. Z umysłu wybrał Gromowid tę ustroń i zamknął się w niéj przed światem, aby świat nie miał najmniejszego udziału w ich szczęściu, aby nic ich nie wytrzeźwiało z upojenia. A upojenie nowożeńców było nie małe, jak były płomienne, silne, samą dzikością nowych czasów ich serca. Gromowid postrzygany był jeszcze obyczajem pogańskim, w młodzieńczych dopiero latach poznał wiarę prawdziwą; przyjął on ją z całym zapałem, ale nie zdołał oczyścić krwi i ducha z resztek bałwochwalstwa, często hołdował przewadze ciała, nie ugłaskanym namiętnościom. Takie też piętno miała jego miłość dla młodéj małżonki.

Podobna była miłość Ody dla Gromowida. On ją nawrócił: a dzień zaślubin był dniem chrztu dla

niéj. Miłość Boga prawdziwego weszła w serce Ody z miłością kochanka ziemskiego, zlała się z nią, zgasła w niéj prawie i wydała tylko roskosz i upojenie ziemskie. Nie dziw, że takie dwa serca półpogańskie zapomniały dla szczęścia swojego o wszystkiém — przynajmniéj na czas jakiś; żyły tylko przez siebie i dla siebie. I nie w saméj chwili pieszczot można było postrzegać owo ich zlanie się w jedno. Kiedy Oda śpiewała rodzinne, tkliwe pieśni, serce Gromowida topniało, oczy zachodziły łzami, duch niewieści wstępował w niego. Kiedy znowu Gromowid opowiadał srogie wyprawy, dzielność wodza Lechitów, piękną okropność bitew, radość rycerskiego serca w zgiełku bojów, większą jeszcze na polu zwycięstwa, popłoch nieprzyjaciół przed tchnieniem odwagi, Oda zapomniała o słabości swojéj płci, czuła rozchodzącą się po członkach męską siłę, drzała do miecza, gotowa była lecieć w ogień bojów. Takiemi byli w cichém ognisku zamkowém, takiemi byli na częstych wycieczkach w góry: Gromowid nie wstydził się przykładać rycerskiéj ręki do niewieścich robót żony, Oda nie wzdrygała się przed trudami i przygodami łowów na najdziksze gór zwierzęta. Było w tém wszystkiém wielkie szczęście, ale to szczęście nie mogło trwać zawsze, nie mogło trwać długo. Przyszedł czas nareszcie, że poznał to Gromowid. Sumieniem jego począł kłucić niepokój, uciechy poczęły gorzknieć wewnętrzną zgryzotą. I w rzeczy saméj coraz jaśniéj widział, że był występnym.

Bolesław obwołał kraj trzykrotnemi wiciami na wyprawę kijowską, a on skrył się w ustroń, aby się nie znalazł na ich drodze. Cały naród w obozowym ruchu, a on gnuśnieje w miękkich objęciach kobiety. Napróżno jego zbroja odbrzmiewa wojennym trąbom, głos ulubionéj zagłusza zbroję. Wojsko pociągnęło na Ruś, wieści o bojach i zwycięstwach już obiegają Polskę, radują, wstrząsają wszystkie serca, a tylko jego serce odrętwiało. Odrętwiało dla czynu, ale nie dla zgryzoty.

Gromowid kochał Odę, ale nie przestał kochać ojczyzny i rycerskiéj chwały. W upojeniu roskoszy małżeńskich nie stracił całéj pamięci na to, co był winien krajowi. Poznał, że uciechom małżonka poświęcił obowiązki męża Polski. Odtąd dwa sprzeczne uczucia stanęły naprzeciw siebie, jak dwa groźne wrogi; długo, długo spokojni, zaczém się zmierzą. Starły się nakoniec. Walka od chwili do chwili stawała się gwałtowniejszą, ale wciąż niepewną. Miłość niewieścia, pieszczoty niewieście, sprzymierzone ze wszystkiemi czarami cichego, łatwego szczęścia, trudne były do pokonania; wzmacniała je nadto osłabiona wola Gromowida. Ale ta walka odbierała rozpieszczonemu sercu najdroższy skarb jego, najpierwszy warunek szczęścia — spokojność. Miłość niewieścia, pieszczoty niewieście, straciły połowę swojego uroku, nie ustępowały jednak z pola, aż przyszła chwila, która walkę rozstrzygnęła.

Noc była późna. Gromowid spoczywał obok swojéj małżonki. Księżyc zaglądał w okno. Chmury przelatujące zakrywały, to odsłaniały twarz jego. Blask walczył z ciemnością wewnątrz komnaty: podobna walka uczuć miotała sercem Gromowida. Nie mógł usnąć, a jednak znużony roskoszą. Podniósł się, patrzał w twarz kochaną, głęboki sen osłaniał ją urokiem swoich skrzydeł, głębokie tchnienia podnosiły jéj piersią, usta uśmiechały się przez sen, przyłożył do nich swoje, napróżno! i w nich nie znalazł spokoju. Wstał cicho. Bez myśli, bez wiedzy szedł do zbrojowéj sali. Księżyc i tutaj patrzał przez okno: to jasném okiem przeglądał zbroje, to chmurząc się okrywał je cieniem. Te zbroje, ten pozór wojny, powiększyły udręczenie, obudziły wstyd w sercu Gromowida. Nie śmiał stąpać, bo każdy krok rozlegał się po nocnéj ciszy, jak echo groźby, i budził brzęk rycerski: rzucił się na najbliższą ławę, zadumał się, uczuł znużenie, zmrużył oczy i zdawało się, że usnął. Krótki był jego spoczynek, dziwne przebudzenie. Porwał się równemi nogami, przetarł oczy, pozierał do koła, niby przypominał sobie, gdzie się znajduje, i puścił się szybkim krokiem ku sypialnéj komnacie. Zbliżony do drzwi zwolnił chodu, wspiął się na palce, stąpał zaledwie dotykając ziemi, z lekka drzwi komnaty uchylił i wszedł do niéj: w północnéj ciszy słychać było gwałtowne, nierówne bicie jego serca. Zbliżył się témże stąpaniem do łoża, obejrzał je iskrzącém od jakiéjś trwogi okiem, odetchnął ciężko, jak żeby ogromne brzemię zrzucił z piersi, ukląkł przy łożu, załamał ręce, i wzniósłszy w górę pobożne wejrzenie, zawołał półgłosem: „dzięki ci o Boże dobry, że to był tylko sen marny!“ Po tych słowach wstał, wahał się niby między jakiemiś myślami, ale w końcu wyszedł, równie cicho, jak spiesznie. Biegł prosto gdzie spał Warcisz, stary, wierny sługą od lat niemowlęcych. „Warciszu!“ rzekł, budząc sługę, — „wstań, mam z tobą pomówić. Słuchaj: tobie nie obca nauka guślarzy. Poradź się jéj teraz i uspokój mię. Oto przed chwilą wszedłem do wielkiéj sali, i miałem dziwne widzenie, niby przez sen, niby na jawie. Patrzałem jakoby na moją zbroję, co tam wisi, i ujrzałem, że się poruszyła i szła ku mnie. Gdy stanęła tuż przedemną, zobaczyłem pod nią młodzieńca przecudnéj urody, z wejrzeniem dziwnego

blasku, ale smutném, długie włosy wymykały się kobiecym warkoczem z pod szyszaka, a dwa orle skrzydła wielkie i jasne, spadały z pleców, jak u ptaka postrzelonego. Młodzieniec wziął mię za rękę, postawił przed oknem i ręką wskazał za okno. Wtedy zobaczyłem nieznaną mi jakąś krainę, ogromne pola i lasy i wielką bardzo rzekę, i na górze przy rzece gród jakiś okazały, bardzo warowny. Na murach grodu widziałem tłumy uzbrojone, a pod murami widziałem wojsko nasze, jak przeze mgłę, poznałem jednak, że nasze. Co dziwniejsza, wyraźnie rozpoznałem postać Chrobrego. Obrócony był ku mnie twarzą, oczy miał gniewne, a stał tak blisko mnie, że iskry jego oczu padły mi na serce; zdaje się, że jeszcze dotąd je czuję. Spłonąłem cały wstydem, spuściłem oczy, a młodzieniec pociągnął mię znowu za rękę w stronę przeciwną. I oto znaleźliśmy się przededrzwiami sypialni. Młodzieniec pchnął drzwi, a ja ujrzałem na łożu, czy uwierzysz? mamże powiedzieć, co ujrzałem? moją Odę w objęciach jakiegoś obcego, jakiegoś mnicha. Zadrzałem z gniewu, jak nigdy nie drzałem. Niewiem już, co w téj chwili chciałem zrobić, ale młodzieniec zniknął, a ja ocuciłem się, nie wiem dotąd, ze snu, czy z widzenia, i ujrzałem się na ławie, jak przed tém przywidzeniem. Warciszu, zlituj się, powiedz mi, co ten sen znaczy?“

Starzec wpatrywał się ze zdumieniem w twarz swojego pana, drzącego jeszcze na spomnienie okropnego snu, przeżegnał się, pomyślał i zawołał: „Bóg z tobą Gromowidzie! Próżno się trwożysz. Jest to nic więcéj, jak ostrzeżenie boskie. Ten młodzieniec to twój Anioł-Stróż. Owa kraina obca, to Ruś. Owe wojsko, to nasi i Rusini w boju: a mnich obok twojéj żony, to ty Gromowidzie, daruj staremu słudze, to ty sam, jaki jesteś w dzisiejszéj twojéj nieczynności, i jakim będziesz, jeśli dłużéj tak zostaniesz. Gromowidzie, to ostrzeżenie boskie, nie waż go lekce.“

Gromowid słuchał z uwagą, nie pokazał żadnéj urazy, przeciwnie z pokorą, ale głosem silnéj woli odpowiedział: „Twoja prawda! Dziękuję ci za nią, Warciszu. Otworzyłeś mi oczy na moją hańbę, ale jeszcze pora otrząsnąć się z niéj. Nie, nie powinienem dłużéj zostać. Trzeba mi jechać do wojska, i pojadę, a pojadę dziś jeszcze, natychmiast. Idź zaraz, rozbudź wojenną czeladź i niech we mgnieniu oka będą gotowi do drogi.“

Warcisz ośmielił się poradzić, aby poczekał do rana; trzeba wszakże i snu użyć, bo podróż nużąca, potrzeba i żonę pożegnać.

Gromowid był niezachwiany; wola jego poszła już w tym kierunku, że złamie wszystkie zapory; mimo to spomnienie żony zhamowało go na chwilę, zamyślił się i wnet wrócił do pierwszego postanowienia, z mocniejszą nawet wolą zdaje się, bo rzekł: „nie, zostaw czeladź do rana. To będzie trwać za długo, to rozbudzi cały zamek, i ona w tym czasie może się obudzić, a ja muszę wyjechać. Dla mnie więc tylko przygotuj konia, a resztę jutro po dniu wyprawisz; wszak drogę wiesz, zwyczajną, wypoczywając będę czekał mojéj służby. Idź. Zbroję sam przywdzieję.“

Warcisz miał odchodzić; chwila nieprzyjazna jeszcze raz uderzyła w Gromowida, zatrzymał sługę. „Czekaj, odjechać bez pożegnania, bez ucałowania Ody, to boleśnie! A tymczasem, kto wie, może jedno jéj słowo... ty wiesz, co jéj słowo, co jéj łza może nademną, możeby mię zachwiały, odwiodły od postanowienia. Nie chcę jéj widzieć. Ty ją pożegnaj odemnie. Powiedz jéj, co mię kosztował ten odjazd, powiedz i to, że musiałem tak zrobić.“

Mimo to stał w miejscu i myślał sobie: „ale nie, pójdę sam, pożegnam: albożem słaby jak kobieta?! Nie będę jéj budził. Jeżeli się obudzi, potrafię oprzeć się jéj wyrzekaniom, jeżeli nie, pożegnam śpiącą, będzie to znać wola boska. Warciszu, rzekł głośno, chodź ze mną.“

Weszli do sypialni, Oda spała wciąż snem głębokim. Długo stał i patrzał w nią Gromowid; pragnął zdaje się jéj przebudzenia. Zdobył się wreszcie na krok stanowczy, przechylił się ku uśpionéj, dał pocałowanie kradzione i znowu stanął i czekał jeszcze, i patrzał do koła. Warcisz pociągnął go z lekka do wychodu. „Chwila jeszcze“, szepnął Gromowid, „co postanowiłem, to zrobię, ale jeszcze chwila.“ Oko jego padło na dziewiczy wieniec Ody, który jako pamiątka ślubna wisiał nad łóżkiem. Gromowid zdjął go, położył na głowie Ody, szepcąc półgłosem, a w twarzy widać było, że mówił z głębi ducha: „Żono moja, oto przez ten wieniec masz być jako dziewica aż do mojego powrotu. Noś go do mojego powrotu. Biada temu, kto się go dotknie przedemną, biada głowie, co go straci. Tak mi Boże bądź świadkiem i ty Warciszu!“ A oblicze uśpionéj, jakby się w niéj odbiło przykre uczucie Gromowida, zamgliło się pół-smutnie, pół-rzewnie, wewnętrznym niby płaczem, a ręka uśpionéj podniosła się przez sen, i spoczęła na wieńcu, jak żeby chciała go przytrzymać.

Gromowid nie widział już tego. Zdaje się mało ufając swojéj woli, wybiegł co prędzéj z sypialni i udał się do zbrojowéj sali. Za chwilę stał już na dziedzińcu w przyborze rycerskim, a przed nim stary sługa z koniem.

„Warciszu!“ zawołał dosiadając konia — „nie zapomnij powtórzyć Odzie, co ci powiedziałem. Ja powrócę prędko, zdrowo; tego jestem pewny. Ty bądź jéj opiekunem, ojcem. Pocieszaj ją, strzeż jéj. O, strzeż jéj, jak źrenicy w oku. Stary ty wiesz, jak ją kocham. Biada nam wszystkim, gdybym jéj nie znalazł taką, jak zostawiam, taką piękną i niewinną!“

Domawiał tych słów już na koniu: w milczeniu dał mu ostrogę. Zwolna przejechał dziedziniec zamkowy, zwolna spuścił się z góry; ale raz na płaszczyznie doliny, pognał konia w całym pędzie, jak żeby lękał się za sobą pogoni płaczu i wyrzutów swojéj Ody. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

O politycznem znaczeniu kobiet.

Niepojętém ale mądrém zrządzeniem opatrzności dzieje się, że we wszystkich tworach dwupłciowych, stósunek płci obojéj do siebie zawsze ten sam zostaje, to jest liczba ich po obu stronach nie oledwie ta sama. Ten sam równości liczbowéj stosunek zachodzi między ludźmi, jak to porównanie tablic statystycznych okazuje. Tu owdzie trafiająca się znaczna przewyższka jednéj płci nad drugą jest anomalią miejscową, która w ogólnym stósunku ludności wyrównywa się i niknie. Można zatém z pewnością twierdzić, że kobiety stanowią drugą połowę rodzaju ludzkiego, drugą połowę każdego narodu, równie liczną jak męzką, a mimo to znaczenie ich polityczne we wszystkich krajach dotąd było żadne.

Przez jakieś dziwne zrządzenie losu kobiety mogą zasiadać na tronie, ale w radzie mężów im zasieść nie wolno, mogą mieć nieograniczoną władzę życia i śmierci, jak samowładczynie Wszech Rossyi, a dobijać im się o prawa polityczne nie wolno.

Ludzie, którym arystokracya rodu jest ewangelią wytłumaczą nam wprawdzie, tę dla nich pozorną tylko niedorzeczność. Na tronie nie kobieta, ale dynastya zasiada, krew nie ciało, pomazaniec nie jestestwo ludzkie. Zostawmy im tę wiarę, z którą umrą szczęśliwi. Więcéj zastanowić nas musi urządzenie krajów konstytucyjne albo cale demokratyczne, gdzie przecież kobiety praw dla siebie politycznych nie zdobyły.

Zasadą jest tych rządów, że władza idzie od ludu, że rząd prawy z woli tych, którymi rządzi wypływa, i jakże z tą zasadą pogodzić zupełne obranię kobiety z praw politycznych, mężom samym należnych? Jak żądać od kobiety posłuszeństwa dla prawa i władzy, kiedy ani to prawo, ani ta władza nie jest wypływem jéj woli? Jak rozporządzać jéj własnością, jéj wolnością, jéj życiem, gdy w kraju, gdzie wszystko wolą mieszkańców jest uświęcone i upoważnione, o jéj wolę nigdy się tam nie pytano? — Są to kwestye, które już nie jeden z polityków sobie zadawał, ale ich nigdy dostatecznie nie rozwiązał. Tych nie wiele, co niewiastom szranki politycznego zawodu otworzyć radzili, wyśmiano i zironizowano; — ci zaś, co tę polityczną niesprawiedliwość wytłumaczyć chcieli, musieli się do sofizmów nietylko bardzo wyszukanych, ale i bardzo niedemokratycznych uciekać. Kobiety emancypatki z tryumfującą miną odrzuciły na to: „trudno bronić, co się bronić nie da.“

Prawda, że to pytanie, o prawach politycznych kobiet, albo było zbywane, jako urojone, albo dziwnie tłumaczone i to przez najgłówniejszych publicystów. Thiers powstając w izbie deputowanych przeciw wnioskowi większego rozciągnienia prawa obiorców wyrzekł te pamiętne słowa: zupełna reprezentacya narodowa jest utopią, bo nie jest podobna do wykonania. Niechby prawo obierania z 400,000 rozciągnęło się na cztery miliony, jeszcze 26 milionów nie będzie reprezentowanych. Gdyby nareszcie wszyscy Francuzi mieli prawo obioru, to go kobiety, druga połowa narodu mieć nie mogą.

Jefferson, prezydent Zjednoczonych stanów Ameryki północnéj, powiedział w jednem poselstwie swojém do stanów zebranych: „Choćby państwo nasze czystą było demokracyą, gdzieby wszyscy mieszkańcy porówno taką mieli miarę politycznego wykształcenia, iżby sami rządy własne sprawować mogli, należałoby przecież wyłączyć z narad publicznych: 1) dzieci, które jeszcze nie doszły wieku dojrzałego, 2) kobiety, któreby nie mogły mieścić się w publicznych zgromadzeniach mężczyzn bez narażenia obyczajności na zepsucie, 3) niewolników, którzy w skutek smutnego prawa, będącego jeszcze u nas w mocy, pozbawieni są własności i wolności głosowania.“

Thiersa rozumowanie było krótkie i zwięzłe; wychodząc z zasady, że mężczyzna faktycznie wyżéj stoi od niewiasty, a nie ma podobieństwa, aby się prawa polityczne na wszystkich mężczyzn rozwinęły, istne urojenie myśleć o podobnych prawach u kobiet. I nie można zarzucić nielogiczności takiemu rozumowaniu, bo mąż stanu bierze rzeczy jak są, nie jak być kiedyś powinny. W takiém znaczeniu mogłoby być choć nie prawdą, to praktyką, że po ostatnim w zdolnościach i znaczeniu mężczyznie, idzie dopiero pierwsza w zdolnościach i znaczeniu niewiasta. Dość,

że dyplomata francuzki łatwym targiem zbył się całéj kwestyi nieudowodniając ani uprawniając rzeczy, ale biorąc ją jak się pokazuje w świecie.

Nie w swoją rzecz wdał się Jefferson, gdy chciał upowodować swój argument, że i w najzupełniejszéj demokracyi państwa, kobiety wraz z dziećmi i niewolnikami wyłączyć od udziału praw politycznych należy. I mogą mieć słusznie kobiety do opacznych uczuć jego i wyobrażeń pretensye, że się użala nad stanem niewolników, których prawo amerykańskie gnębi dotąd i uciska, a o kobietach, jakby o urodzonych i naturalnych mówi niewolnikach, które nie dla tego wyłączyć należy od zgromadzeń prawodawczych, by ku temu zdolności żadnych nie miały, ale że przeznaczone są być kobietami, żonami tylko, a ta ich kobiecość narażonaby była na zepsucie.

Ta filantropia i opieka o kobiecą wstydliwość bardzo podejrzana. Gdyby rzeczywiście o nią Amerykanom chodziło, byłby to i wtenczas jeszcze więcéj interes ich własny, na podobieństwo gospodarza, który po praniu strzeże owiec, aby się wełna nie zaplugawiła. Bo ręczyż rząd za obyczaje mężów, prawo polityczne wywierających, którychby chyba publiczne zgorszenie mogło w ich prawach ukrócić? zkąd więc taka skrupulatność cnoty demokratycznéj w kobietach? — Atoli całkiem tu nawet o obyczaje nie chodzi. Bo jeżeli obyczaje niewieście nie narażone są na niebezpieczeństwo, przez codzienne towarzyskie obcowanie ze sobą płci obojéj, po teatrach, zgromadzeniach, na balach i zabawach, zbyt naciągana troskliwość, aby im zagrażały zebrania polityczne płci obojéj.

Albo więc Jefferson nie powiedział, co chciał powiedzieć, aby wykluczenie niewiast z obrad politycznych upowodować, albo sprawiedliwego na to powodu dać nie umiał. W Ameryce i w ogóle w rządach demokratycznych trudno nie przypuścić kobiet do praw politycznych, gdy podstawą tych rządów jest osobowa wolność mieszkańców we wszystkich swobodach politycznych i socyalnych. Saint–Simoniści utrzymujący, że małżeństwo dopiero, czyli człowiek w dwójce płciowéj jest zupełną istotą socyalną, a krom małżeństwa tylko półistotą, usprawiedliwiliby poniekąd taki stan rzeczy, gdzieby tylko socyalne istoty, a takowe reprezentowane w mężach, wywierały prawa zupełne polityczne. Ta myśl wszakże Saint–Simonistów nosi w łonie swém ukrytą prawdę, podającą przyczynę, dla któréj kobieta zostawała dotąd bez politycznego znaczenia.

Każdy, który zdobywa w państwie niezawisłe dla siebie stanowisko, jest obywatelem tego państwa, jest zupełną w prawach politycznych istotą socyalną. Niedoletni zawiśli od rodziców, słudzy od panów, osoby nie mające stałego zatrudnienia, którémby wchodziły w czynną sferę państwa, nie mogą być dla tego obywatelami, ani wykonywać praw politycznych. Kobieta nie zdobyła sobie dotąd niezawisłego stanowiska w towarzystwie. Nieletnia zostaje pod opieką rodziców lub opiekunów, jako żona zlewa prawa swoje na męża, i przez niego chce być reprezentowaną. Niewiasty doletnie bez mężów są nielicznémi wyjątkami, a i tam osłania ich opieka mężczyzn, braci, krewnych lub przyjaciół.

Ta ciągła zawisłość od mocniejszéj z natury istoty socialnéj, od mężczyzny, który działa, przemyśliwa i zarabia, postawiła kobietę w polityczném niemowlęctwie. A że ta zawisłość ugruntowana w naturze rzeczy, bo pierś męża zbudowana, aby była tarczą ojczyzny, członki silne i muskularne, aby przełamywały zapory i tamy, o któreby się drobniuchne siły kobiece nadaremnie rozbijały, myśl odważna, dojrzała i jędrna, aby tam sięgała, gdzieby się zachwiał i zakołowrocił rozum niewieści — przeto nie ma podobno widoku emancypowania kobiety, aby zasiadała w senacie, i izbie deputowanych radziła, aby na zgromadzeniach politycznych głos zabierała, i dawała wota swoje.

W kraju nawet najbardziéj demokratycznym, jak Ameryka, gdzie kobieta idąc za mąż nie traci niezawisłości swojéj, rozporządza majątkiem dowolnie bez męża, przez zakładanie instytutów, rękodzielni, rzemiosł dla płci swojéj stósownych, niezawisłą się czyni w znaczeniu politycznem; — tam nawet do wykonywania praw politycznych przez niewiasty przyjść nie może.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Zwierzęcy magnetyzm w modzie. We wielu miastach, a szczególniéj w Paryżu, trudni się mnóstwo osób magnetyzowaniem i profanuje tym sposobem tajemnice natury, które w magnetyzmie się pojawiają. Lekarze pewni mają w swoich usługach jasnowidzące, które na zgromadzeniach publicznych i opłacanych wysoko, usypiają, zadając im pytania podawane przez przytomnych. Wiele znajduje się téż kobiet odgrywających rolę jasnowidzących na własny rachunek. W każdym stanie atoli można je znaleźć. Mieszkające w ubogich dzielnicach miasta, są stare,

brzydkie i brudne i zastępują miejsce dawnych czarownic i cyganek. Ludzie biedni radzą się ich w chorobach i t. d. Jasnowidzące same się w sen wprawiają, kładąc jakiś pierścionek na palec, przynajmniéj sen udają. W tym stanie polecają leki na wszystkie choroby, zawarte we wodzie magnetyzowanéj. Kobiety sypiają na ten sposób sześć do ośmiu godzin na dzień i nazywają to robotą. Sen ich jest jedynym zarobkiem i rzemiosłem. — Stan miejski ma także swoje jasnowidzące. Są to poczęści kobiety w trzydziestym roku, blade, chore i dosyć piękne. Donoszą o sobie w gazetach, np. Pani C. jasnowidząca, daje posłuchanie lekarskie od dziesiątéj do czwartéj godziny. Sławna jest ze swych jasnowidzeń. Można do niéj na piśmie się zgłaszać, byle listy były frankowane.“ Inne rozdzielają kartki polecające na ulicach i najwięcéj mają uczennic, które wprawiają w sztukę jasnowidzenia. — Arystokracya ma także swe oryginalne jasnowidzące. Pewna kobieta utraciwszy swój cały majątek w czasie rewolucyi lipcowéj, znalazła środek w Paryżu zarabiania sobie co rok 40,000 franków, za pomocą jasnowidzenia. Ztąd widoczna, że prawdziwém jest przysłowie, iż szczęście nie jednemu we śnie przychodzi. — Oprócz tych magnetyzujących szarlatanów i jasnowidzących z rzemiosła, znajduje się mnóstwo lubowników magnetyzmu, kobiet i mężczyzn, którzy dla zabawy odgrywają rolę jasnowidzących. Wiele bywa teraz magnetycznych wieczorów, podobnie jak są wieczory muzykalne i tańcujące. Nie masz tylko na biletach zapraszających: „Tam spać będą.“ Magnetyzerem po tych towarzystwach zwykle bywa młodzieniec z długiemi włosami. Kobieta odgrywająca rolę jasnowidzącéj, siedzi lub leży w białéj sukni, z rozpuszczonemi włosami na krześle, nie trudno jéj odgrywać roli czarodziejskiéj, kiedy zna zazwyczaj tajemnice swych przyjaciółek. Tak mówi do jednéj, masz włosy nie swoje, drugiéj, masz blanż na twarzy, do trzeciéj, twoje klejnoty, to istne szkiełka kolorowe i tak daléj. — Kto zna potęgę fantazyi u kobiety, przyzna, że wieczory magnetyczne są bardzo niebezpieczne. Magnetyzm odgrywa nie raz rolę uwodzącego węża. Młodzieniec jeden przechwalał się niedawno, że przez magnetyzm bardzo bogato się ożenił. Opowiadają nawet, że mąż jeden magnetyzował żonę swoją w śnie naturalnym, bez jéj wiedzy, chcąc się dowiedzieć o najgłębszych jéj tajemnicach, przy czém nie wiadomo, czyli mąż, czyli żona została oszukaną.

W szereg Casanowy, Schubarta, Pellico, wstąpił Angelo Frignani, jako odrębna postać. Uwikłany w spisek został w trzydziestym roku swego wieku wtrącony do więzienia przez rząd papiezki. Pociąg do wolności i powietrza skierowały myśl jego do odgrywania roli obłąkanego. Odgrać rolę taką z całém następstwem, do tego potrzeba nietylko talentu nadzwyczajnego aktora, ale jak Hamlet drugi, powinien był stanąć na tém stanowisku uczuć, gdzie łatwo przechodzi się w stan szaleństwa. Angelo Frignani nie odgrywał roli łagodnego głupca, ani téż delikatnego melancholika, ale obrał rolę wściekłego, aby przerazić, wzruszyć i wymódz na stróżach, czego żądał. Dziwić się przychodzi nad energią woli i nad siłą fizyczną, kiedy czytamy w jego wyznaniach, iż całą akademią lekarzy oszukał. (Pod tytułem: „Moje szaleństwo w więzieniu“, wyszło dzieło jego w tłumaczeniu niemieckiém u Brockhausa w Lipsku). Jeden z jego lekarzy przejrzał grę nastrojoną, udał, że jéj uwierzył i zapisywał mu lekarstwa, które ustaliły zdanie o chorobie jego. Nie raz opadła go gwałtowna febra w skutek natężeń, i w rzeczy samé obłąkała na chwilę mózg jego. Najdotkliwszą sceną dla nieszczęśliwego była owa pora, w któréj poznał między ciekawymi rodzinę swoją. Osierociały ojciec na widok nieszczęśliwego syna rwał włosy swe siwe. Brat jego stał obok zalany łzami. Po kilku wybrykach roli szalonego udało mu się dmuchnąć słów kilka bratu, które wystarczyły na porozumienie się wzajemne. — Dopiął celu Angelo po upływie roku. Przeprowadzono go do domu chorych, zkąd uciekł.

Negrier, lekarz francuzki, doniósł przed niedawnym czasem francuzkiéj akademii umiejętności, iż gwałtowny upływ krwi z nosa natychmiast wstrzymać można podniesieniem w górę ręki, i to prawéj, jeżeli z prawego otworu, lewéj, jeżeli z lewego otworu nosa krew płynie.

Nowiny z Ameryki. Gazety w Filadelfii donoszą: Dr. Lardner przy odczytach w teatrze prelekcyi „o rewolucyi francuzkiéj“, objaśniać będzie główne zdarzenia „żywemi obrazami i innemi scenicznemi przedstawieniami.“

Pewien francuzki misyonarz w Kanadzie, nazwiskiem Tanner, powiada, że w Montrealu podczas postu gra wiele osób w karty o pacierze, — kto przegra, ten odmawia za wygrywającego pewną liczbę pacierzy.

Znany optyk londyński Cary wynalazł nowy rodzaj szkła powiększającego, który w skutkach swych prawie wszelkie przechodzi podobieństwo. Narzędzie to ma sześć rozmaitych stopni i zwiększa od stu trzech do czterysta siedmdziesiąt milionów razy. W drugim stopniu pokazują się skrzydła szarańczy dwadzieścia siedm stóp długie. W szóstym stopniu tak się zwiększa oko muchy, które ma zawierać 750 soczewek,

iż każda soczewka czternaście cali duża wygląda. Włos ludzki w przecięciu wynosi tam ośmnaście cali, a w obwodzie cztery stopy.

Paryż z przedmieściami liczy teraz mieszkańców 1 milion 100,000, między tymi 200,000 dziennych najemników. Miasto ma przeszło 2000 ulic, po których ciągle się toczy 60,000 pojazdów.

W pewnym angielskim dzienniku przeczy jakiś uczony upowszechnionemu zdaniu, jakoby karty wynalezione zostały dla zabawy jednego z królów francuzkich i utrzymuje, że karty już dawnym Egipcyanom były znane. Pięćdziesiąt i dwie karty odpowiadają 52 tygodniom roku, 13 kart w jednym kolorze liczbie tygodni roku miesięcznego, a dwanaście figur dwunastu miesiącom i t. d.

Przed kilku dniami padł jakiś człowiek w Paryżu na ulicy bez zmysłów. Paraliż go jak mówiono ruszył i zaniesiono go do odwachu. Nie upłynęło kilka minut, aż zjawiła się kobieta, która krzycząc i płacząc wołała: „mój mąż, mój mąż! Spieszno zdejmcie mu chustkę z szyi... Odstąpcie od niego, niech ma wolny oddech.“ Odstąpiono jak kazała; sama zaś trudniła się z wielką troskliwością, płacząc ciągle i wyrzekając. Wkrótce przybył lekarz i puścił krew choremu. Ten przyszedł do siebie. „Co za szczęście dla żony!“ rzekł oficer z udziałem. „Ja nie mam żony!“ — „Bardzo ona płakała.“ — „Nie mam doprawdy żony!“ Wołano na nią, ale kobieta znikła, chory schwycił się za kieszeń, aż tu nie ma pieniędzy i zegarka. Czuła kobieta okradła go w oczach żołnierzy i ludu.

MODY.

Paryż, dnia 27. Grudnia 1842.

Powiadają w ogóle, iż nic na tém nie zależy, czyli wstążki w ten lub w ów sposób nosimy, jak łańcuszki na szyi lub u przepaski zawieszamy, ale rzecz się ma inaczéj. Prawdziwa elegantka zwraca więcéj uwagę w teatrze lub na wieczorze na chustkę, którą trzyma w ręku, na wachlarz, z którym igra, aniżeli na swą suknię aksamitną, lub szal kaszemirowy. Są to drobiazgi, które fantazyjnemi zowią i po których poznają się elegantki.

Na czele tych fantazyjnych rzeczy stawiamy kamele i opończe. Pierwsze powinny być obszerne, z lewantyny, atłasu, kaszemiru lub aksamitu, niekiedy futrem, częściéj pasamonami oszyte. Na czarnéj lewantynie wygląda lekka pasamonowa robota bardzo pięknie, równie i na kaszemirach. Do atłasu i aksamitu stósowniejszém jest futro, ale i bramowanie na pięknym aksamicie wybornie wygląda. Małe płaszcze z różowego, żółtego lub fijołkowego atłasu, futrem oszyte, najczęściéj noszą do wieczornych toalet; atłasy w jasnych kolorach osadzają łabędzikiem lub gronostajami, czarne aksamity gronostajami, kunami i t. d.

Długie szale zniknęły, tylko z aksamitu i kaszemiru się utrzymały. Na wieczorach rzadko się zdarza widzieć szale gazowe.

Ubranie negliżowe na rano. Szlafroczek z tureckiego kaszemiru, podszyty atłasem pomarańczowym. Rękawy zakonnicze. Czepeczek à la folle, z kokardą niebieską atłasową. Trzewiki aksamitne.

Toaleta na wyjście. Suknia z atłasu prążkowego z wązkim paskiem aksamitnym u dołu powłoki, z podobnym paskiem u rękawów i u stanika. Szal kaszemirowy w pomarańczowym kolorze.

Ubranie na wyjście. Suknia z czarnéj mory, u stanika z paskami aksamitnemi i wyłogami, które aż na ramiona zachodzą. Obcisłe rękawy, orzucone paskiem aksamitnym, równie u dołu powłoki dwa szerokie paski aksamitne. Płaszcz Małgorzatą przezwany, z małym walońskim kołnierzem.

Ubiór balowy, Suknia z białego tulu o trzech powłokach, z każdéj strony nie upiętych, ale niejako zesznurowanych wązkiemi wstążeczkami. Spodnica z białego atłasu. Strój włosów z lokami à la Sevigné.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapotka atłasowa zdobna u góry koronkami i wstążką. Suknia z obcisłemi rękawami. Kamel z aksamitu szeroko oszyty gronostajami. Duży zarękawek gronostajowy.
2. Kapotka jak u 1. Szlafroczek pekinowy, rękawy równo obszerne i otwarte, z przodu ku dołowi osada pasamonowa wydatna. Rękawy sukni ułożone w bufki.
3. Kapotka z wystrojem wstążkowym. Kryspina atłasowa zdobna pasamonami. Suknia jedwabna w paski. Rękawy wązkie.
4. Krótki surdut, z krótkim kołnierzem i dwoma rzędami guzików. Pantalony obcisłe.
5. Paletot sac z obszernemi rękawami, z przodu wyłogi aksamitne. Szlips kolorowy.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*